

Piotr Zaczek

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

96

Na te słowa bankier bezsilnie opadł z powrotem na krzesło. Wyznanie to uspokoiło co najmniej ciekawość zebranych gości. Teraz, kiedy tajemnica wyjaśniona została, nikt nie chciał dłużej pozostać w mieszkaniu mordercy i wszyscy szepcząc i oglądając się z nieufnością, pomalu ruszyli do wyjścia.

Wkrótce głośny turkot powozów oznajmił, że goście rozjeżdżają się już do domów, opuszczając pod przykrem wrażeniem gościnne salony barona de Compans i zabawę, która w pierwszych chwilach zapowiadała się tak świetnie.

Nawet Fernanda skorzystała z ogólnego zamieszania, aby zniknąć tak, że ani Lopez ani Frank nie zauważyli jej nagłego odejścia.

Kiedy salon opustoszał już zupełnie, pan de Cerevurt, prokurator, podszedł do pana de Compans.

— Paniel — wyrzekł grzecznie — pozwól pan, że nie przesadzając udziału, jaki pan wziął w zbrodni, którą tu mi odkryto, będę zmuszony wypełnić moje urzędowe obowiązki. Będzie się pan bronił wobec sędziów i wykaże swoją niewinność, jeżeli to możliwe, ale tymczasem, zważywszy ważność faktów, jestem zmuszony aresztować pana.

Pan de Compans przyjął te słowa bez oporu. Po zbladłej i zmienionej do niepoznanienia twarzy toczyły się łzy bezsilnej wściekłości i żalu za córką.

Cała dawna energia i siła opuściły go bezpowrotnie. Niktby nie poznał w nim dawnego świetności i pewnego siebie człowieka, któremu zazdrościł Paryż cały. Cała potęga jego i aureola zgasła w jednej chwili.

Jednakże, kiedy na zaproszenie prokuratora powstał, aby oddalić się z nim razem, zwrócił się raz jeszcze do Lopeza i obrzucił go błagającym spojrzeniem.

— Panie — wyrzekł cichym, zgaszonym głosem — nie dla siebie prosiłbym sędziów moich o litość i względność. Jeżeli mnie skarzy i wymierzą stosowne zadośćuczynienie za moją winę, przyjmę ich wyrok bez szemrania, ale mam dziecko, córkę jedyną i ukochaną, która jest niewinną i którą czeka wstyd i nędza najokropniejsza.

Lopez powstrzymał dalsze jego słowa szybkim ruchem ręki.

— Pomyślałem już o tem — odparł żywo — i pomimo grozy, jaką wywołała zbrodnia pana i całej nienawiści, jaką czuję i pragnienia sprawiedliwej zemsty, może pan być przekonany, że nędza nie dosięgnie panny Sylwii de Compans. Wstydu, jaki nan na nią rzucił, nie zmażę, bo nie jest to w mojej możliwości, ale upoważniony przez mojego bratanka, pana doktora Franka, oznajmiam panu, że z majątku jego ojca, który pan będzie mu zmuszony zwrócić, on część jedną przyzna córce pana i w ten sposób panna Sylwia przyszość materialną zapewnioną mieć będzie.

Usłyszawszy to zapewnienie, którego nie spodziewał się wcale, pan de Compans wzruszonym wzrokiem objął swojego wroga. W pierwszym porwy wdzięczności chciał nawet uściskać rękę Lopeza, ale ten bez słowa odwrócił się szybko. Bankier weschnął ciężko i zwrócił się natychmiast do oczekującego prokuratora.

— Jestem gotów towarzyszyć panu — rzekł zmienionym głosem i chwiejnym krokiem opuścił salon.

Kiedy znaleźli się przy drzwiach wejściowych, prokurator kazał służącemu przywołać powóz, do którego pierwszy wsiadł pan de Compans, sam zaś zwrócił się do Lopeza i Franka:

— Panowie! — rzekł uprzejmym głosem. — Jutro rano oczekiwać was będę w swoim biurze.

— Stawimy się nieodwołalnie — odparł Lopez.

Powóz ruszył, uwożąc nieszczęśliwego bankiera i Paskala, który trwał jeszcze dalej w stanie dziwnego odrętwienia i nie wiedział, co się z nim dzieje.

Lopez pozostał sam z Frankiem.

Teraz dopiero spostrzegł zniknięcie Fernandy i zmarłwił się szczerze.

— Biedna dziewczyna — rzekł wzruszonym

głosem. — Nie potrzebujemy już dalszych jej usług, więc usunęła się dyskretnie, chcąc uciec przed objawami naszej wdzięczności.

— Ale my ją odnajdziemy, nieprawdaż? — zawołał Frank porywczo. — Musimy ją odnaleźć.

— Mam nadzieję.

— Jak ja mogłem podejrzewać ją choć na chwilę! — oburzał się Frank. — Nigdy sobie tego nie daruję, doprawdy! Posadzać ją, taką szlachetną i dobrą!

— A teraz? — zapytał Lopez, patrząc na niego uważnie.

— Teraz zdaje mi się, że będę najniebezpieczniejszym człowiekiem na świecie, jeżeli jej nie odnajdę. Jej obecność jest mi potrzebna do życia!

— Zobaczysz ją jeszcze, Franku, przyrzekam ci to — wyrzekł z uśmiechem zadowolenia Lopez. — A teraz rozejdźmy się, mój kochany, pamiętaj, że mamy rano stawić się w biurze pana de Cerevurt.

— Nie zapomnę — odparł Frank, ściskając gorąco dłoń Lopeza. Przed wyjściem jednak ostatniem spojrzeniem objął willę. Wszędzie już światła pogaszone zostały i dom wraz z parkiem tonął w głębokich ciemnościach. Niktby się domyśleć nie mógł, że przed godziną jeszcze wrzała tu zabawa w całej pełni i przepychu, zakończona w tak nieoczekiwany i tragiczny sposób.

Przy końcu lipca roku 19... powóz zaprzagnięty w dwa silne konie, pędząc wyciągniętego klusa, zatrzymał się przed głównym hotelem w Lyon, miasteczku znajdującym się w północnej stronie Bretanii.

Mogła być godzina dziesiąta wieczorem. Służba zajazdu wybiegła i otoczyła natychmiast powóz, wypręgając konie i zakładając świeże, które niecierpliwie biły kopytami o ziemię, oczekując znaku ruszenia.

W powozie siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich mógł mieć lat około pięćdziesięciu, drugi około trzydziestu.

Jak tylko powóz zatrzymał się przed hotelem, jeden z mężczyzn wyskoczył szybko i wszedł do pokoju restauracyjnego, mieszczącego się na dole. Towarzysz jego nie opuścił dawnego miejsca, leżąc wygodnie na poduszkach w stanie półuspiania. Starszy podróżny, wszedłszy do sali, kazał sobie podać szklankę madery i sucharki i zapaliwszy papierosa, kazał przywołać do siebie pocztyliona, który miał ich zawieźć do następnego przepręgu.

W kilka minut później zawezwany pocztylion stawił się na rozkaz podróżnego i szczególna rozmowa zawiązała się natychmiast pomiędzy nimi.

— Jak ci na imię? — zapytał bez wstępu podróżny, patrząc w otwartą, dobroną twarz wezwanego

— Iwon, do usług pana.

— Jesteś dobrze obeznany ze swoim fachem?

— Pewnie! Od lat przeszło dwudziestu jestem pocztylionem w tych stronach.

— Chciałem ci się właściwie zapytać, czy jesteś zręczny, mój przyjacielu.

— Och! Zdaje się. Nie obawiam się nikogo ani niczego — brzmiała śmiała odpowiedź.

— Tego mi właśnie potrzeba.

Pocztylion wzruszył ramionami.

— Ej, nie potrzebuje się pan obawiać. Droga równa i pewna aż do następnego przepręgu. Dziecko mogłoby spokojnie kierować kołmi.

— Naprawdę?

— Jest tak, jak mówię.

— To źle! To bardzo źle — szepnął, namyślając się podróżny.

— Jakto?

— Chciałem cię prosić o oddanie mi przysługi, mój przyjacielu.

— Niech pan mówi.

— Ale po twoich słowach, widzisz, zaczynam się namyślać.

— Dlaczego?

— Bo ta droga, którą pojedziemy, jak sam powiadasz, równa jest i dobra.

Pocztylion uśmiechnął się głupkowato, nie rozumiejąc wcale.

— Niech pan jednak mówi, zobaczymy co to takiego? — rzekł zaciekawiony.

Podróżny położył rękę na jego ramieniu i spojrzał mu prosto w oczy.

— Czy chcesz zarobić dzisiaj sto franków, mój przyjacielu? — zapytał nagle.

Pocztylion odskoczył, jak gdyby go kto ugodził w najczulsze miejsce.

— Sto franków? — powtórzył zdumiony. — Sto franków? Dla mnie?

— Czy to nie dosyć?

— Dostyć, ale zależy jeszcze, co mam za te pieniądze zrobić.

— Ho, ho! Więc się namyślasz?

— Pewnie. Przysługa przysłudze nie równa, pan to rozumie — odparł spokojnie.

— Przysługa, którą żądam od ciebie, nie jest wcale trudną do wykonania.

— O cóż chodzi?

Podróżny zamyślił się.

— Posłuchaj mnie — odezwał się po chwili — utrzymujesz, że droga jest równa i dobra?

— Zapewnie.

— Wydaje ci się więc niemożliwym, aby na tej drodze powóz przewrócić się mógł?

— Ale proszę pana...

— Odpowiadaj.

— A no cóż. Wszystko jest możliwe, jak kto chce — odparł filozoficznie pocztylion.

— Nieprawdaż?

— O wypadek nie trudno.

— Szczególniej w nocy — podpowiedział podróżny, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Ma pan słuszność.

— A więc mnie rozumiesz?

— Doskonale.

Pocztylion przymrużył jedno oko, patrząc porozumiewająco na podróżnego.

— Masz tu zadań — rzekł ten ostatni, wsuwając mu w rękę złotą monetę. — Resztę dostaniesz po załatwieniu naszej sprawy, oczywiście, jeżeli ją zręcznie przeprowadzisz.

— Ale tamten? Ten drugi? — zapytał pocztylion, chowając szybko pieniądze.

— Jaki drugi?

— Towarzysz pana.

— Czy chciałbyś się go poradzić?

— Ja nie. Ale jakże on przyjmie tę rzecz całą?

— To już do mnie należy — odparł stanowczo podróżny — Zresztą skoro jesteś zręczny, jak to sam utrzymujesz, mam nadzieję, że nas tak wywrócisz, że nie stanie się nam nic złego.

— Odpowiadam za podróżnych. Ale co do koni, to co innego. Nie wiadomo, jak tam wypaść może.

— Głupstwo! Nie ma się nad czym zastanawiać. Jeżeli który złamie nogę lub się skałeczy, obowiązuję się zastąpić go innym.

— W takim razie nie mam już więcej nic do powiedzenia — rzekł pocztylion, patrząc z podziwem i szacunkiem na podróżnego.

— Poczekaj, pozostaje nam jeszcze jeden punkt do omówienia.

— Co tak ego?

— Miejsce, gdzie powóz przewrócony zostanie

— To prawda.

— Czy znasz tu w okolicy mały wiejski domek, zamieszany przez osobę, którą tu podobno nazywają wszyscy „wdową“.

— Czy ją znam? — oburzył się pocztylion. — Ależ to opatrność całej okolicy.

— Naprawdę?

— Ten domek znajduje się o dwie mile stąd.

— Przy drodze?

— Tuż przy drodze.

— A więc doskonale! Teraz wiesz już wszystko. Dałem ci wszystkie wyjaśnienia potrzebne. Od ciebie zależy zarobić sto franków obiecanych.

Iwon nie kazał sobie tego dwa razy powtórzyć. Po wypiciu szklanki madery, na koszt podróżnego, pośpieszył do swoich koni.

Podróżny zaś wkrótce wyszedł z zajazdu i poszedł do towarzysza, który zaczął się już niepokoić jego przedłużającą się nieobecnością.

— Cóż się tam dzieje, Lopez? — zapytał, kiedy ten zajął miejsce przy nim w powozie. — Nigdy jeszcze, zdaje mi się, nie zatrzymywaliśmy się tak długo przy przepręganiu koni.

— Myślałem, że spisz, Franku — odparł Lopez spokojnie.

— Tak, spałem, kiedyś tu dojeżdżali — rzekł młody człowiek — ale już obudziłem się od dłuższej chwili i nie mogłem się na ciebie doczekać.

— A więc zapalmy teraz cygara, żeby się do reszty orzeźwić, księżyc już wstaje, będziemy mieć przyjemną podróż, bo okolica, jak mówią, jest tu bardzo malownicza.

Pocztylion siedział już na koźle, gotowy do drogi.

(Ciąg dalszy nastąpi).